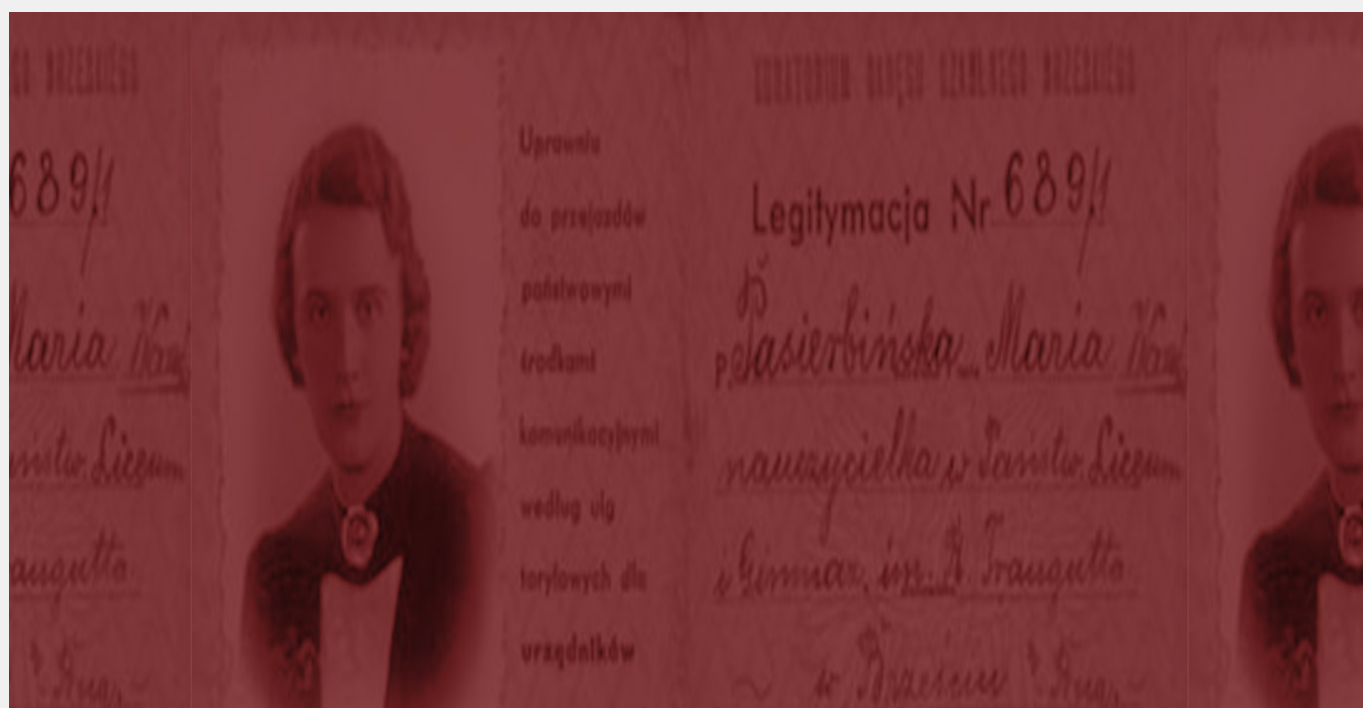


Wojna obronna 1939

<http://1wrzesnia39.pl/39p/artykuly/52753,Od-ruska-do-germanca.html>
2019-09-19, 02:32

Od ruska do germańca

Przedstawiany tekst relacji obejmuje zasadniczo czas od 1 września do 1 grudnia 1939 r. Jest on szczegółowym rękopiśmiennym zapisem przeżyć autorki w omawianym okresie. Spisywany był, jak mi wiadomo, na bieżąco lub (co wynikało z sytuacji) z niewielkim opóźnieniem w stosunku do dziejących się zdarzeń.



Przygotowując relację do druku, w znacznym stopniu pominąłem wątki prywatne, nie wnoszące nic do naszej wiedzy o wrześniu 1939. Starąłem się natomiast uwzględnić w największym stopniu elementy mogące pomóc badaczowi okresu identyfikować aurę wrześniowych dni na terenach Rzeczypospolitej zamieszkanym w dużej mierze przez

mniejszości narodowe. Wanda Maria Pasierbińska (ur. w 1904 r. w Stanisławowie, zmarła w 1985 r. w Warszawie) z domu Górka. Absolwentka polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, uczennica prof. Ignacego Chrzanowskiego, nauczycielka.

1 września 1939 r.

„U wrót najjaśniejszej Rzeczypospolitej stanął wróg odwieczny”. Tak brzmiały pierwsze słowa komunikatu radiowego, którego wysłuchaliśmy, przejęci grozą – w przerwie odbywającego się egzaminu do gimnazjum. Faktem stało się to, co jak zmora wisało nad nami i nad światem od długich miesięcy, a nawet i lat. [...] Sprawa jednak obrony naszej niepodległości była święta. Choć więc stanęliśmy w obliczu przechodzącego siły nasze obronne niebezpieczeństwa – to jednak bezmiar zbrodni i krzywdy zadanej nam zdradziecko – ani na chwilę nie pozwolił wątpić, że się obronimy, że wytrwamy. Przecież sprawa nasza jest sprawą przyszłości Europy! Dlatego też z wiarą najgłębszą wysyłaliśmy dnia 31 sierpnia 1939 roku naszego Ukochanego Tatuśka i Najmilszego męża na święty bój. [...] I rozpoczęła się straszna wojna. Żywioł – powietrze, bez którego życia nie ma, stał się najokrutniejszym wrogiem człowieka. Opanowane przez straszne maszyny, nie posiadające granic – stało się polem bitwy, rozgrywającej się nad naszymi głowami. Wszyscy znaleźliśmy się na froncie, ale bezbronni i szukający choć najlichszego schronienia. [...] W rowie przeciwlotniczym słychać szept modlitw, płacz dzieci, widać przerażone spojrzenia. [...]

9 września

W rowie przeciwlotniczym ja z Ewunią³, obok nas tłok ludzki. Groźny warkot samolotu. [...] Nagle ziemia zachwiała się w posadach raz, drugi

i niezliczony raz, strumień gorącego powietrza uderzył w nas i oblał śmiertelnym potem. [...] Nad naszymi głowami przelatują złowieszcze ptaki, wróg sieje zniszczenie, śmierć bogate ma żniwo. A my żyjemy, patrzymy na siebie nawzajem, czy to prawda. Bóg nas ocalił!! Syreny znów wyją krótko, urywanie. Alarm odwołany. Wychodzimy niepewnie na powierzchnię ziemi. Wokoło cisza jesiennego wieczoru, przerywana krzykiem trąbki strażackiej – na niebie łuny pożarów. Ofiary nalotu (wśród 6000 osób, które w dniu 9 września zginęły w Brześciu, znaleźli się również państwo Suchanowie⁴ z dzieckiem, moja uczennica Wanda Gruszecka, kierownik „Uranii”, krewni Agnieszki Grochowskiej i wiele innych) znalazły wieczne schronienie w wielkiej „bratniej mogile”. [...] Godzina 2 w nocy z 9 na 10 września Krótka narada poprzedza decydujący krok. Toporowski proponuje, by nie czekając ranka, który przynieść nam może jeszcze gorętsze chwile, opuścić miasto i szukać schronienia w jakiejś małej nie leżącej przy szosie wiosce. Wziąć ze sobą małą walizeczkę, by każdy tam mógł umieścić swój najniezbędniejszy bagaż. [...] Noc ciemna bezksiężycowa, na czarnym niebie gwiazdy – światło rzucają na ziemię. Od czasu do czasu niebieskie smugi lamp samochodowych oświetlają nam jezdnię i chodnik, miasto bowiem pogrążone jest w głębokich ciemnościach. Podążamy szybko, bagaż choć zdawało się [, że] mały, obciąża ramiona, tak by się chciało przystanąć, odpocząć, ale lęk przed świtem pędzi nas naprzód. Byle dalej od Brześcia, gdyż równo ze słońcem zjawiają się samoloty, które już przez dzień cały nękać będą miasto. Idziemy więc wytrwale, a obok nas, przed nami, za nami karawany ludzkie, jedni pieszo, obciążeni tobołami z pościelą, matki dźwigają dzieci lub wiozą w wózkach, drudzy na rowerach, a najszczęśliwsi na szczycie wyładowanej pod „niebo” furmanki. Ci mijają nas szybko – zazdrościmy im, że jadą, i że wcześniej znajdą się w bezpiecznym miejscu. Nikt z nas bowiem nie wiedział, że nie ma bezpiecznego miejsca na naszej biednej ziemi. Nie tylko bowiem miasta były przedmiotem bombardowania, lecz i pastwiska z bydłem, i niewinne dzieci w polu, wymachujące rączkami do samolotu. [...] Godzina 5 rano Doszliśmy do wioski odległej o 5 km od Brześcia. Z domów powychodzili ludzie i patrząc na nas, z ubolewaniem kiwają nad nami

głowami. [...] Usiedliśmy na ławeczce pod chatą [...] Za chwilę zjawił się Toporowski z kierownikiem tamtejszej szkoły, który zaprosił nas wszystkich do siebie, by odpocząć i posilić się czym. Skorzystaliśmy skwapliwie z gościnności i pożywili kawą i chlebem. W trakcie śniadania zelektryzowała nas znów syrena, której wycie dochodziło nas z Brześcia, znów nalot i straszne bombardowanie. Schroniliśmy się do rowu. Odgłosy eksplodujących bomb napełniły nas znów grozą, pragnęło się tylko jednego, by oddalić się jak najszybciej od Brześcia. Koni nie można było dostać, zresztą nie mieliśmy dużo pieniędzy (ja 300 zł, a Toporowski 60 zł). [...] Idziemy razem (część towarzystwa jedzie, gdyż udało się nam zdobyć furmankę na kilkanaście kilometrów). Najważniejsze to, że bagaże jadą – ulżyło rękom, więc i ruchy mogą być szybsze. Przy sobie [...] mamy tylko maski przeciwigazowe. [...] Wreszcie pod wieczór dochodzimy, czy też dojeżdżamy do jakiejś wsi – dowiadujemy się, że nazywa się Podlasie. Tu trzeba zatrzymać się i przenocować.

10 września, niedziela

Jesteśmy utrudzeni, zmęczeni, zakurzeni. Poleszucy siedzą sobie na ławkach przed chatami, pogoda piękna – nawet upalna. Spoglądają na nas z zaciekawieniem, lecz bez zbytniej życzliwości. Ale że jeszcze władze polskie są, więc też wójt nie odmawia wyszukania dla nas kwatery. [...] Gospodyni nasza „pulchnowarga” zapewnia nas, że izba czysta, więc i na podłodze nocleg będzie dobry. Dobrze więc, że [mamy] gdzie głowę położyć – teraz trzeba zakrzętnąć się za jakimś prowiantem. Zajrzałyśmy do jednej chaty i drugiej, brud straszliwy – chęć do jedzenia odchodzi, ale żołądek woła o swoje. Na bok więc wszelkie „burżuazyjne” przyzwyczajenia i uprzedzenia, garnuszkiem nie dającym się domyc pijemy mleko i jemy chleb, po którym setki much łązi. Jak łatwo dostosowuje się człowiek do zmienionych warunków życia [...]. Teraz dopiero, gdy pragnienie i głód zaspokojone, trzeba obejrzeć się za miednicą, by obmyć się z kurzu i potu. Cóż,

kiedy miednica – to sprzęt nieznan w tych okolicach. „Ma tu taką miskę tylko jedna gospodyni, ale w tym nosi jedzenie świniom”. Ucieszyliśmy się tą informacją i popędziliśmy do owej gospodyni. Miednica okazała się duża, ale nie do użytku ze względu na stan higieny. Przy pomocy jednak piasku i wody przyprowadziliśmy ją do możliwego wyglądu i z paradą zaniósł ją do owej kwatery. Zaczęło się generalne mycie „od głów do stóp”, aż się dzieciśka ze wsi zbiegły i z otwartymi dziobami gapiły się, co też tak „to państwo” się myje, oni to robią raz na rok przed świętami. Widowisko więc było nie lada – najpierw dzieci, potem panie, w końcu panowie. [...] Tymczasem panowie przygotowują nocleg – słoma pod głowę, jasiek zabrany z domu i pled do przykrycia. Kłaść się trzeba, zanim zrobi się ciemno, świecić bowiem nie można (zarządzenie przeciwlotnicze). [...] sen dobroczynny zszedł szybko na nasze oczy, i choć coś tam w słomie szeleściło, nie przeszkadzało nikomu i nikt nie zastanawiał się nad „istotą” tych odgłosów.

11 września

O świcie gospośka zaczęła nam deptać po nogach, po głowach – zależy od tego, kto znalazł się w jakiej pozycji w danym momencie – tak że nie sposób było wylegiwać się dłużej w „wygodnej pościeli”, lecz resztę drzemki trzeba było (jeśli kto miał ochotę) uzupełniać na słomie pod stodołą. [...] Okropne jest poczucie bezdomności i świadomość korzystania z cudzej łaski [...], ale to były pierwsze dni – później człowiek zhardział i przyzwyczał się do tego. Resztę dnia spędziliśmy, leżąc na słomie pod stodołą – samoloty bowiem stale krążyły, to paraliżowało nasze ruchy. [...] 12 września Od świtu przez wieś przeciągają tabory wojskowe, niepokojący to widok. Chłopstwo kiwa głowami i wróży na podstawie wspomnień z wielkiej wojny, że „wrah – germaniec” [wróg – Niemiec – P.Ł.] zbliża się. Serce we mnie truchleje, opuszcza nas wszelka nadzieja i wiara, mimo to Top[orowski] karci chłopów za takie przypuszczenia. Ponieważ jednak huk armat od

strony Brześcia coraz częściej się powtarzają, postanawiamy wędrować dalej. [...] Nad nami wciąż samoloty. Dopadamy do najbliższego lasu, rozproszeni wśród zarośli. [...] Czuje się człowiek jak bezbronne zwierzę szczute psami. [...] Nagle od strony szosy rozlegają się nawoływania: „Państwo, chodźcie prędzej, jest furmanka”! [...] Jesteśmy już przy wozie. Nasi przygodni znajomi, wśród nich „bohater w hełmie” (ochrona przed odłamkami) „panie dziejaszku”, mocuje się z chłopem, który za żadne skarby nie chce jechać, bo koń słaby. Lecz że siła „jest przed prawem”, uładowaliśmy bagaż (majątek tych państwa plus nasze tobołki) [...]. Zrezygnowany chłop podcina szkapinkę, lecz ona ani drgnie. [...] Od czasu do czasu chłop buntuje się, chce zrzucić bagaż, a gdy prośby nasze nie pomagają, znajdują się i groźby. W taki sposób dowlekliśmy się do Radwanicz. Zatrzymujemy się przed posterunkiem policji. [...] Wszyscy są przerażeni i przygnębieni. Policja za parę godzin opuszcza posterunek, więc i my musimy wędrować dalej. [...] Słychać nalot i karabiny maszynowe. Biegamy spłoszeni, kryjemy się to w rowie, to pod drzewem, to znów w jakiejś starej karczmie. [...] Zmierzch zapada, można się zbliżyć do szosy. Z daleka widać tabory wojskowe. Dochodzimy do gościńca, chcemy dać odpoczynek nogom, więc prosimy oficera, by pozwolił nam przysiąść się na wozy. Pozwolił. [...] Wojsko podąża w stronę Kowla. Dojeżdżamy do jakiejś wsi, jest to Antonówka. Jest zupełnie ciemno. [...] Zatrzymujemy się przed szkołą, chcemy tu bowiem przenocować. Okazuje się jednak, że szkoła wypełniona po brzegi i miejsca nie ma. Nawinęła się jakaś kobiecina, przyniosła trochę mleka, którym pokrzepiliśmy się trochę, a w końcu ofiarowała nocleg w swej chacie. Izba duża, kilkoro dzieci śpi już w łózkach, dla nas zaraz będzie słoma. [...] Godzina 12 w nocy. Gospoia budzi nas i oznajmia, że policja opuściła już swój posterunek – wszyscy uciekinierzy opuszczają wieś. Co robić!? Godzina 12 w nocy z 12 na 13 września Wśród strasznych ciemności, w świetle gwiazd tylko, posuwamy się naprzód, nie znając zupełnie drogi, ale kierujemy się ciągle na wschód. [...] W godzinach południowych przychodzimy do jakiejś miejscowości. Z daleka widać duży budynek – szkoła-pomnik Józefa Piłsudskiego. Chcemy trochę odpocząć. Nauczyciel gościnnie zaprasza nas do siebie, na stole kawa, chleb, masło, miód. Trudno się

nawet napić czegoś ciepłego, bo samoloty nie pozwalają posiedzieć pod dachem. Lecą całymi eskadrami. Dach szkoły lśniący, obawiamy się, że będzie to nęcący obiekt. Kryjemy się więc pod drzewami. Nauczyciel radzi, by iść w kierunku Nowosiótek [...] Deszcz zaczyna padać, robi się ciemno. Trzeba będzie przenocować w Nowosiótkach. [...] Moja maleńka Ewunia już nic nie widzi – wciska się w kąt kanapy i już śpi. Przeszła bowiem w tym dniu 35 km!!! [...]

14 września

Wczesnym rankiem obudziło nas pukanie do okna, to przyjechały podwozy. [...] mamy zamiar kierować się do Lubieszowa – tam pojechał kurator i naczelnicy. Dubaj zna tamtejsze gimnazjum i pijarów, właścicieli tego gimnazjum – i jest pewny, że znajdziemy tam miłą gościnę. [...] Nerwy nieco spokojnieją, więc i humor po trosze wraca. Nazywamy naszą wędrówkę wycieczką krajoznawczą po Polesiu. Krajobraz monotony, smutny. Teren grząski, piaszczysty. [...] Przeróża najbardziej pustkowie, z rzadka spotykamy zabudowania ludzkie. Po drodze mijamy kilka jezior, największe z nich nosi nazwę „Orzechowe”. [...] Dookoła dymią torfowiska. Powietrze wilgotne, ciężkie. Brześć nie daje pojęcia o Polesiu, tutaj dopiero rozumie się, co to znaczy, że koń zabrnął w bagno i ruszyć nie może. [...] Przed zmrokiem wjechaliśmy do jakiejś dużej wsi, z jednej strony leśniczówka, z drugiej szkoła. [...] Wieś nazywa się Lelików – nauczycielka – p[ani] Kosińska, której mąż jest leśniczym.

Szkoła [wypełniona] po brzegi policją, ani jednej izby wolnej. Państwo Kosińscy proszą więc do swego prywatnego mieszkania – serdecznie nas goszczą. Gospośia wnosi na stół talerze gorącej zupy pomidorowej, następnie kurę gotowaną i półmisek kiszonych ogórków. Na koniec gorąca herbata. [...] Pani Kosińska szykuje nam „spanie” [...] na podłodze rozkłada się grubą warstwę słomy, na to baranica, pod głowę „prawdziwe” poduszki, do przykrycia koce. Jesteśmy zachwycone. [...]

łóże mamy „królewskie”. [...] Kosiński twierdzi, że już wszystko przepadło, szkoda uciekać, bo to nieszczęście wszędzie nas dogoni. [...]

15 września

Jedziemy dalej, tłuczemy się po wybojach i po drogach poleskich, które w czasie wielkiej wojny budowali Niemcy, umacniając rozmokłe miejsca okrągłakami, wycinanymi z przydrożnych lasów. Przetrwały aż do nowej wojny i obecnie nam ułatwiają wędrówkę. Wszędzie po lasach [wyraz trudny do odczytania] grupki wojska i tabory. Przykry to przedstawia widok – bez dowódców jacyś wymizerowani, pozbawieni najelementarniejszych potrzeb – bo na widok bibułki, z której nasz furman kręcił papierosa, rzucają się na niego, tak że wszystkich nie miał czym obdzielić. Biedny żołnierz. [...]

16 września

[...] Samoloty już nie nękają, sądzymy więc, że sytuacja się poprawiła. Pewnie Niemcom zabrakło benzyny. Takie zdania słyszało się po drodze. Nie znaleźmy jednak istotnej przyczyny tej ciszy. Jeszcze kilka kilometrów do miejscowości, której nazwa Wielka Głusza. Jakiś chłop jedzie do młyna ze zbożem. Zaprasza, by przysiąść się na jego furmankę. Korzystam chętnie. [...] Wsiadam z furmanki. Zastępuje mi drogę jakiś młody chłopczyna pod karabinem i w uczniowskiej czapce. Straż Obywatelska⁶. Podchodzi do mnie i żąda legitymacji. Kiedy przeczytał, że jestem nauczycielką z Brześcia, oznajmia, że do Brześcia już można wracać. Taki stamtąd był dziś telefon. [...] Wjeżdżamy w głąb miasteczka i szukamy posterunku policji. Policja jest, lecz sami nie wiedzą, co będzie z nimi za kilka godzin. Ponieważ jest to duża osada, obawiamy się, że dłuższy pobyt nie będzie bezpieczny ze

względu na ewentualne naloty. [...] Najbliższa wieś Pohulanka – 4 km.
[...]

17 września

[...] Ciemno już było, kiedy wyjechaliśmy z Pohulanki. Na drodze w Wielkiej Głuszy ścisk, wojska i taborów moc. [...]

18 września

[...] humory poprawiły się nieco. Krótki odpoczynek. [...] Aż tu nagle grom z jasnego nieba: bolszewicy idą!! Wieść tę straszną przywiózł Masojada⁷, którego wysłał do nas kurator z podwodami i radą, byśmy wracali do Brześcia, gdzie dziś wkroczyli już Niemcy. Znaleźliśmy się między dwoma ogniami – w sytuacji bez wyjścia. W każdym razie trzeba jak najszybciej usunąć się z terenów zamieszkanymi przez zbolszewizowaną ludność białoruską. [...] I trwoga, i radość na przemian przenikają moje serce. Wracamy do domu!! Lecz czy go zastaniemy? A jeśli nawet dom stoi, to czy ocalało nasze mienie? [...] Opuściliśmy Wielką Głuszę, nie wiedząc o tym, że zaraz następnego dnia przechodził tamtędy mój Tade[usz] Jedyński ze swym szwadronem [...].

19 września

[...] Wszędzie cicho i pusto, nigdzie już nie widać naszych wojsk. Okropna świadomość, że już nie istniejemy, odbiera resztki sił. Jak to

się stać mogło w tak krótkim czasie? Wierzyć się nie chce. [...] Po południu docieramy do Lelikowa [...] Jest tu jeszcze trochę policji: sami nie wiedzą, co robić – wszyscy znaleźliśmy się w pułapce. [...]

20 września

Wyjeżdżamy o świcie. Około godz[iny] 10 przed południem zajechaliśmy do Dywina. [...] Spotykamy znajomą młodą nauczycielkę z Malinówki, u której znaleźliśmy miłą gościnę, gdyśmy w kierunku Głuszy podążali. Oznajmiła nam, że dziś w tej wsi chłopi zamordowali wójta, nastroje bardzo groźne [...] trzeba jak najszybciej stąd się usunąć. Jedziemy dalej, z nami kilkunastu młodych mężczyzn (przeważnie nauczycieli) na rowerach. [...] Jeden z naszych towarzyszy podróży ma jakiś podłużny, owinięty w papier sprzęt przywiązany do roweru. Dowiadujemy się, że to karabin pozostawiony przez jakiegoś żołnierza. Wiadomo, że posiadanie broni jest w obecnej chwili rzeczą niebezpieczną. Żądamy więc od niego kategorycznie, by się jej natychmiast pozbył. Oddalił się od nas, a za chwilę wrócił już bez broni, rozebrał ją na części i rozrzucił w różnych miejscach.

Jedziemy dalej – nagle na tle zmroku wyłania się jakiś tłum ludzi, zbliżamy się do nich [...]. Wtem staje naprzeciw nas jakiś uzbrojony wyrostek z czerwoną opaską na ramieniu i zatrzymuje nas wezwaniem w języku rosyjskim. Momentalnie otoczyła nas grupa podobnych „posipaków” [posipaki (ukr.) – siepacze – P.Ł.]. Żądają od nas wydania broni, w przeciwnym razie przeprowadzona będzie rewizja. Ewa drży z lęku i płacze. Nikt z jadących broni nie ma, mimo to wóz przeszukują, przetrząsają słomę i grożą, że jeśli znajdą, pójdziemy wszyscy „pod ścianę”. Na drugim wozie również przeprowadzają rewizję, tam są dwa rewolwery [...]. Jednak „nowi nasi władcy” nie mają jeszcze wprawy w rewidowaniu, a może są trochę skrępowani nami, za szybko bowiem przeobraził się cały dotychczasowy porządek społeczny. Zamarte serce moje z trwogi zaczyna bić na nowo, kiedy po skończonej rewizji

pozwolono nam dalej jechać. Teraz jednak trzeba się koniecznie bronić. Widziałam, z jakim bólem ów młody człowiek cisnął w pole zgrabny miniaturowy rewolwer. Było to bolesne przeżycie. Zbliża się noc, a my znaleźliśmy się wśród „wilków”, nie wiadomo więc, gdzie i jak noc spędzić. Ujechaliśmy z pół kilometra – znów zatrzymują „czerwoni”.

Powtarza się ta sama historia, rewizja za bronią, a przy tej okazji grabież rowerów. Czujemy nienawistną atmosferę i słyszymy pogroźki, gdy ruszamy dalej. Wjeżdżamy do wsi – na drogach moc parobków i wyrostków, głowy zadarte, papierosy w zębach. Pytamy o szkołę. Odpowiadają po rosyjsku, że nauczyciel uciekł, ale oni mogą rozbić drzwi i wpuścić nas, byśmy przenocowali. Wobec takiego przedstawienia sprawy obawiamy się, że nasze osobiste bezpieczeństwo jest pod wielkim znakiem zapytania. Dlatego też dziękujemy za „gościnność” i ruszamy dalej. [...]

21 września

Teraz już co kilkaset metrów wznoszą się przed nami bramy triumfalne przygotowane na powitanie „przesławnej czerwonej armii”, która granicę naszą przekroczyła. Przy każdej bramie rewizja. Już zdążyliśmy się do tego przyzwyczaić. [...] W godzinach południowych zbliżaliśmy się do przedmieść Brześcia. Z daleka ujrzelśmy już hełmy krzyżackie i zielononiebieskie mundury. [...] Dojeżdżamy do straży. Zatrzymują nas, każą oddać broń, a nawet „Messer und Federmesser” [nóż i scyzoryk – P.Ł.] [...]. Przy drodze piętrzą się stosy tych „niebezpiecznych” narzędzi, ponadto jeszcze i maski gazowe. Za nami i przed nami cała karawana wozów z powracającymi do domów uciekinierami.

Wszystkich nas trzymają dwie godziny na przymusowym postoju – w końcu na znak pruskiej łapy ruszamy dalej. Jesteśmy coraz bliżej

Brześcia [...]. Na przedmieściu ślady wojny: brak szyb, które wypadły wskutek bombardowania, tu znów zgliszcza ubogich zabudowań. [...] Mieszkanie [...] doszczętnie ograbione. Wieść tę przyjąłam obojętnie, przecież uchodząc z Brześcia, pragnęlibyśmy tylko uratować życie, wszystko inne pozostawiliśmy na łaskę losu. [...] Trudno opisać obraz, jaki przedstawił się naszym oczom: jedna straszna ruina, grabież przybrała tu barbarzyńskie formy. Szafy porozbijane siekierami czy też bagnietami otwierały przed nami swe puste wnętrza, na podłodze potop fotografii i gmatwanina różnych strzępów rzeczy [...]. Ze ścian pozdzierane dywany, sterczą tylko gwoździe lub widnieją dziury w tynku, z okien zdarto firanki. [...] Spizarnia pusta [...].

W kuchni stosy niemytego naczyń z zapleśniałymi resztkami jedzenia (z uczyty rabusiów), wszystko obrośło pleśnią. [...]. Ewunia mądre dziewczątko – mówi do mnie: „To nic, mamusiu, żeby tylko Tatuś zdrowo i prędko wrócił”. Kiedy jednak zobaczyła na podłodze ukochaną swoją lalkę z rozdeptaną główką – rozplakała się. [...] Wracając do tych naszych strat materialnych, to wszystko, co było złożone w Kuratorium, a więc meble – również przepadło. Bo jakimże schronieniem jest publiczny gmach w czasie bezprawia i „bezkrólewia”. Rozbity częściowo w czasie bombardowania, stanął otworem dla tych, którzy chętnie cudzą własnością się dzielą. [...] Obie z Ewunią spałyśmy razem – cudownie. Mimo to przez sen słyszałam jadące przez całą noc samochody i czołgi niemieckie. Niemcy bowiem opuszczali Brześć przed wkroczeniem Armii Czerwonej.

22 września

W związku z tym znowu popłoch. Przybiega rano Ciechowiczowa i namawia nas, byśmy wszystko zostawili i razem z wojskiem niemieckim przesunęli się za granicę Bugu, dopóki jeszcze nie jest zamknięta. Posterunki bolszewickie już są na ulicach, a postacie ich budzą grozę. [...] Oświadczam stanowczo, że się nie ruszam, na

ziemiach naszych jeszcze wojna, Warszawa się broni, mogę się więc znów znaleźć pod kulami – zdaję się więc na wolę Boga i stanowczo decyduję się pozostać. [...] W południe odbyła się pod „województwem” „wielka uroczystość” zawieszenia sztandaru bolszewickiego na miejsce swastyki przy dźwiękach hymnów obu naszych „przyjaciół”. Wojsko niemieckie opuściło już Brześć – granica zamknięta! Zamknięta! Zdawało się tak jak wieko trumny, z której wyjścia nie ma. [...] jeśli szkoły otworzą, będziemy zatrudnione. Ale jak będzie wyglądać praca w bolszewickiej szkole, nikt nie wie. [...]

6 października-21 listopada

Rozpoczął się rok szkolny w szkołach. Ewa poszła do szkoły. (Nic nie wiedziałyśmy o tym, że w tym dniu nasz tatuś jedyny został wzięty do niewoli). Nauka w gimnazjum rozpoczęła się 11 października. Pierwszym kategorycznym zarządzeniem władz wykonanym za pośrednictwem naszego dyrektora [Chodkowskiego – P.Ł.] było zdjęcie krzyży i zakaz odmawiania modlitwy przed i po nauce. Nie miałam odwagi i siły spojrzeć na tę młodzież, przed którą tak niedawno jeszcze stawałam jako wychowawczyni głosząca miłość Boga i Ojczyzny. Dziś kazano nam temu przeczyć, a tym samym kłamać. Serca jednak się buntują – młodzież samorzutnie wstaje do modlitwy przed wejściem nauczyciela do klasy i po wyjściu, by go nie narażać. Żydówki patrzą na to z ukosa. Gimnazjum nasze (dawniej Polskiej Macierzy Szkolnej) zmieniło się nie do poznania. Każdy, kto pragnie wiedzy, ma prawo ją zdobywać. Hasło piękne! Ale przychodzi młodzież bez przygotowania, bez kwalifikacji umysłowych, ale pewna siebie, z góry spoglądając na koleżanki i nauczycieli [...]. [...] Do grona naszego przybyła nauczycielka Rosjanka – jesteśmy wszyscy pod obserwacją [...]. Jedynie w swojej klasie czuję się jak między swoimi.

Godziny polskiego są lekcjami patriotyzmu, mówimy o Polsce i wierzymy, że „zemsta jest nasza”! Przypominają się czasy niewoli

rozbiorowej, tajnej szkoły polskiej – mówimy cicho, ktoś zawsze nadśluchuje, czy nie zbliżają się podejrzane kroki. Wychodzę z klasy podniesiona na duchu wiarą i postawą młodzieży. [...] Jedno zdarzenie, które przytoczę, świadczy [o tym], jak [dziewczęta] nie lękały się kary i prześladowania za „występek” (!), lecz wypowiadały głośno, co czują i czego pragną. Zbliżam się pewnego dnia do klasy IIa na lekcję. Zza drzwi dochodzą mnie słowa wypowiedane entuzjastycznie. Poznaje głos Hali Słoneckiej. Nadśluchuję uważnie i oto... [słyszę:] „i będzie Polska od morza do morza...” Uświadamiam sobie momentalnie, iż jest to klasa o zespole narodowościowo mieszanym, są tam i Rosjanki, i Żydówki – doniosą i nieszczęście gotowe. Wchodzę więc ostro do klasy. Hala stoi na katedrze – koleżanki wpatrzone w nią, a ona kończy ...„więc cierp i módl się człowieku...”! Byłabym ją uściskała, lecz wobec klasy trzeba było milczeniem pominąć to, co usłyszałam, jak gdybym nic o niczym nie wiedziała. Po lekcji jednak zawołałam ją do siebie. Wiedziała, o czym chcę z nią mówić. Po kryjomu wtyka mi w rękę kartkę: „proszę sobie to przeczytać – to jest przepowiednia o Polsce”. [...] Zbliżała się uroczystość Wielkiej Rewolucji.

Oczywiście wszystkie szkoły mają wziąć udział w pochodzie. Im „piękniej” która z nich będzie udekorowana, tym większe uznanie zyska u władz, a krótko mówiąc, zapewni sobie prawo istnienia. Idą więc okólniki dyrektorskie do klas, które mają wybrać komitet uczniowski mający ułożyć program uroczystości. Z grona poza kilkoma osobami i ja należę do komitetu z racji udzielanego [tj. wykładanego] przedmiotu. [...] Przygotowuję więc dwa utwory Konopnickiej: W piwnicznej izbie i Wolny najmita. O reszcie programu niech myślą inni. [...] Żydówki przystrajają hall bolszewickimi portretami i godłami – wszędzie czerwono, aż oczy bołą. Po korytarzach kręci się moc Żydów i różnych podejrzanych typów. [...] Wieczorem z dnia 6 na 7 ma się odbyć w szkole akademii. Dziewczyny ostentacyjnie przychodzą niedbale ubrane, by zaakcentować swój stosunek do uroczystości. Każda z nich w kieszeni fartucha ma „siemieczki” [pestki roślin oleistych, a szczególnie pestki słonecznika – P.Ł.]. Zachowują się krzykliwie, hałaśliwie. Kpią z zarządzenia dyrektora: „w czasie śpiewania Międzynarodówki⁹ wstać – następnie wznosić głośne

okrzyki". Dyrektor spogląda w tłum młodzieży przerażonymi oczyma, obawia się, że ktoś z „władzy” przybędzie na uroczystość. Poleca więc nauczycielom rozsiaść się pomiędzy młodzieżą i pilnować porządku. Lecz jestem nie tylko „wśród niej”, ale i „z nią” jednakowo czuję.

Program rozpoczyna Międzynarodówka, dyrektor daje rozkaz, by powstać. Ociągając się, niektóre uczennice wstają, inne opierają się i zwieszają na krzesłach, inne ledwie się unoszą, wszystkie natomiast czynią hałas posuwanymi krzesłami, szeleszczą rozgryzanymi pestkami, a nawet półgłosem rozmawiają. Nastrój iście „bazarowy”. Towarzyszy on całej części wykonywanej w języku rosyjskim przez koleżanki – Żydówki. Natomiast entuzjastycz nie przyjmuje „widownia” polską część programu. Utwory Konopnickiej, Szopenowskie mazurki nagradzane są rześzystymi oklaskami, a już nie milkną brawa w czasie pięknie wykonywanych tańców ludowych [...]. Szczęście, że nikt z przedstawicieli władz nie przybył na „naszą” akademię. Dyrektor drżał, co z tego wyniknie, jeśli ktoś doniesie. Na drugi dzień rano przed [godziną] 8 zbiórka w szkole. Kolumna udekorowana ma wziąć udział w pochodzie. Rozgrywają się wprost sceny na dziedzińcu szkolnym przy wciskaniu przymusem do rąk uczennic „sierpów i młotów” oraz portretów i transparentów. Uczennice płaczą, dostają spazmów, łamią i rzucają w błoto czerwone chorągiewki [...]. Włóczyli tak młodzież przez kilka godzin po ulicach miasta, na koniec odbyła się defilada przed trybuną pod dawnym „województwem”. Kilka kroków dalej po przeciwnej stronie wznosi się kościół. Wszystkie uczennice jak na komendę odwracają głowy od trybuny, na której „ramię przy ramieniu” stoją Moskale i Niemcy – i zwracają je w stronę kościoła.

Żegnają się wyraźnym, wielkim krzyżem, chłopcy odkrywają głowy. Na jezdni, którą przeszły kolumny młodzieży, moc wdeptanych w błoto... czerwonych chorągiewek... Uroczystość skończona! Teraz trzeba się ustawić w jakiejś kilometrowej kolejce, gdyż dziś (podobno!) z racji „wielkiego święta” będzie można zdobyć kawałek białego chleba! Stałam więc na kilka godzin w „ogonku”, lecz białego chleba już zabrakło, był czarny. Zdobyłam 3-kilogramowy bochenek. Tak nagradza się „trudiaszczyj narod” [lud pracujący – P.Ł.] w bolszewickim

raju! Rocznicą rewolucji zbiega się niemal z naszym świętem narodowym – 11 Listopada, rocznicą odzyskania niepodległości. Tym boleśnieszkie więc były dla nas te czerwone obchody. Jest ponury i smutny dzień listopadowy. Rzesze młodzieży spieszą do szkoły. [...]. Dochodzimy do bramy kościelnej (tędy prowadzi droga do szkoły). Główne wejście i kościół – zamknięte. Mimo to na cmentarzu moc młodzieży. Odszukaliśmy i my boczne wejście i jesteśmy już wśród modlących się. Łez powstrzymać nie mogę, płyną same. Jakaś dziewczęca postać rozpięta krzyżem na zamkniętych drzwiach kościoła. Wszyscy na kolanach pogrążeni w głębokiej modlitwie. [...]. Dziewczęta łkają, w oczach chłopców błyszczą łzy. [...] Jesteśmy już w szkole.

Po korytarzach przechadzają się dziewczęta – są odświętnie ubrane, jakieś ciche, spokojne i poważne. Dziś dyżur pełnię ja – stanęłam jak zwykle na podwyższeniu. Wtem mimo woli spojrzałam na powierzchnię jego [tj. podwyższenia] – na warstwie kurzu czyjaś ręka wypisała słowa: „Jeszcze Polska nie zginęła...” Taki był program naszej akademii... Rozchodzimy się do klas – ciężiej niż zwykle dziś prowadzić lekcję. Wtem wieść przebiega gimnazjum: w szkole jest bolszewicki inspektor – będzie wizytował lekcje – właśnie dziś! Zaczynają się więc szykany. Momentalnie przebiegam myślą tematy lekcji w poszczególnych klasach: w klasie IV pozytywizm. Będziemy mówić o kulcie pracy – z aktualizacją oczywiście. W klasie III – czasy złotej wolności szlacheckiej – tu woda na ich młyn. W I licealnej Krótka rozprawa Reja – użyją sobie na księżach. W klasie IIa Bogurodzica. Tu trudniej będzie o „aktualizację”. Lękam się, że może ta klasa będzie przedmiotem wizytacji – co pocznę z tym tematem! W ostatniej chwili błyska mi myśl, że w razie wizytacji poprowadzę lekcję językową, coś łatwego z powtórki. Cztery godziny lekcyjne przewlokły się już żółtym krokiem w atmosferze strasznego napięcia nerwów, dotychczas u mnie inspekcji nie było. Lekcja piąta! Idę do klasy II. Waham się chwilę, jaką lekcję rozpocząć – wtem na korytarzu słyszę kroki zbliżające się do mojej klasy. Za chwilę dyrektor otwiera drzwi i wpuszcza jakieś „indywiduum”, sam zaś do klasy nie wchodzi. „Wizytator” ów – jak się okazało – był za czasów polskich nauczycielem w prywatnej polskiej

szkole powszechnej [...] – nazywa się Lizdenko (Ukrainiec).

Zanim usiadł, podchodzi do mnie i podaje mi temat lekcji:

„Poprowadzić (!) lekcję na temat stosunków narodowościowych w Zachodniej Białorusi i na temat przestawnej Czerwonej Armii”.

Miałam do wyboru: albo wykonać polecenie „władzy”, albo oznajmić mu, że mam inny temat lekcji przygotowany: Bogurodzicę. To ostatnie byłoby jednoznaczne z moją deklaracją ideową – nazajutrz można już było nie przyjść do szkoły i rozpocząć daleką podróż na wschód. Myśl o Ewie nie pozwoliła zdobyć się na takie bohaterstwo – co się z Nią stanie, kto się Nią zaopiekuje [...]. Rozpoczynam więc lekcję według „rozkazu”. W ustach gorycz, język suchy jak wiór, głos więźnie w gardle. Polecam uczniom w związku z powtórzeniem nauki o składni utworzyć zdania, których treścią będą wydarzenia z ostatnich czasów. Cisza grobowa była odpowiedzią na to. Patrzą tylko na mnie wylęknionym błagającym wzrokiem, czuję, że przez usta przejść im nie może kłamstwo, którego w tej chwili od nich żądam. Atmosfera jest straszna – czekać na dobrowolną odpowiedź nie mogę, wzywam więc żydówki [tak w tekście – P.Ł.], których uczucia patriotyczne nie są zranione.

Podaję więc zdania: „Dnia 22 września przestawna Czerwona Armia wyzwoliła spod jarzma ludność Zachodniej Białorusi”. „Związek Sowiecki zapewnia wszystkim narodowościom szczęśliwą przyszłość”. Wywołuję na ślepo nazwiska uczennic, [...] godzina wlecze się – sił mi już brak i fizycznych, i moralnych. [...] By odpocząć, polecam uczennicom wpisać te zdania do zeszytów. „Wizytator” wstał i przechadza się między ławkami. Nareszcie dzwonek! Koniec męki, przynajmniej na dziś. Lizdenko bierze zeszyt jednej z uczennic i wychodzi z klasy, dając mi polecenie, bym zgłosiła się w kancelarii dyrektora na rozmowę z nim. Mówi do mnie i do dyrektora przez „wy”, mówi po rosyjsku, lecz ja oświadczam, że nie znam tego języka. Przegląda zeszyt i robi mi ostrą uwagę w związku z doбором tematów wypracowań. Brak tam – według niego – tematów aktualnych, które tak żywo młodzież interesują, i o których z taką radością (!) pisałaby. Cóż za znawca dusz ludzkich!! [...] W dalszej rozmowie podkreśla, że

młodzież entuzjazmuje się nowym strojem, ale ja hamuję ją. Najchętniej powiedziałabym mu, co myślę, lecz wolę milczeć. Milczenie ma też swoją wymowę. Na zakończenie rozmowy dowiedziałam się, że jeszcze będę „dobrą nauczycielką”, ale muszę poczuć ducha bolszewizmu i przejąć się nim. Nauczyciel bowiem stoi na pierwszym miejscu wśród inteligencji – kroczy na czele ludu, jeszcze przed wojskiem, musi to być pewny (!) człowiek. A jeśli takim nie jest – to jest wrogiem – toteż postąpi się z nim jak z wrogiem. Tak! Dla mnie wśród nich miejsca nie ma! [...] Po strasznym jednak przeżyciu w szkole dnia 11 Listopada – postanowiłam [...] z Brześcia uciekać.

Jeśli tego nie uczynię, czeka nas jeszcze gorszy los: wywiezienie w głąb Rosji, a może i rozłąka z dzieckiem. Toporowscy już wcześniej rozpoczęli likwidację resztek swego mienia – całymi dniami płaczą się po mieszkaniu Żydzi, którzy zawsze mają pieniądze i wszystko kupują. [...] Życie upływało w ciągłym lęku, że ktoś [na] nas doniesie władzom, a te uniemożliwią nam ucieczkę. [...] dowiedziałam się [...], jak wygląda przeprawa przez „zieloną granicę”. Jest to przedsięwzięcie pełne ryzyka. Samo dojście do Bugu przez teren strzeżony przez milicję jest niebezpieczne, można wpaść w ich ręce. Następnie przeprawa przez Bug na małej łódce wśród ciemności nocy! [...] mówiono nawet, że coraz ciężiej jest przejść przez granicę. [...] Tymczasem rozeszła się wieść, że granica będzie otwarta. W tym celu trzeba zarejestrować się na wyjazd. Stoimy więc od świtu w kilometrowym „ogonie”. Wreszcie jestem już przy upragnionym biurku – podaję dokumenty – jestem już zarejestrowana, a jako dowód otrzymuję kwitek z napisem... obiad [na krawędzi strony doczepione dwa kwitki z napisem „obiad” ostemplowane pieczętką: Polski Czerwony Krzyż Okręg Poleski. Jeden nosi numer 15159, drugi 15160 – P.Ł.]. Trudno więc uwierzyć, że jest to poważnie potraktowana sprawa, wygląda to raczej na kpiny lub wyłapywanie pewnych osób przez rosyjskie władze¹⁰. Znaleźliśmy się więc w bardzo ciężkiej sytuacji. Decyzja ucieczki czy też w obecnych warunkach pozostanie w Brześciu połączone jest z niebezpieczeństwem. Z dwojga złego jednak wybieramy pierwsze. [...] Termin już naznaczony: jutro wieczór. 22 listopada Rano idziemy jeszcze do szkoły, mówię całą prawdę dyrektorowi – żegna się ze mną

serdecznie [...].

Modliłam się gorąco, by Bóg pozwolił nam szczęśliwie przeprowić się na „tę lepszą” (?) stronę. [By oddalić niebezpieczeństwo „wpadki” i aresztowania, autorka postanowiła pojechać w stronę Białegostoku i z tego miasta jako osoba nieznana na miejscu – co stanowiło pewną ochronę – rozpocząć przeprawę na zachód. Po licznych perypetiach znalazła się wraz z córką na granicy w okolicach Czyżewa po stronie sowieckiej, tu następuje próba przeprawy przez kordon – P.Ł.] [...] po gościńcu uwijają się jak psy straże, gdyż teren ten – to pas nadgraniczny. [...] Nagle ujrzeliśmy jakąś chatę stojącą na uboczu. [...] Wchodzimy do izby, w której jedenaście osób czeka na przewodnika, my również dołączamy się do tej grupy. Tymczasem gospodarze częstują nas kołaczem¹¹ i gorącym mlekiem [...] – jak to dobrze [...]. Jest godzina 5 po południu 28 listopada. Zapada ciemna noc. [...] Posuwamy się ostrożnie za przewodnikiem, który jest widoczny jedynie dlatego, że ma na plecach biały worek [...]. Brniemy po rozmiękłym gruncie, jest bardzo ślisko [...]. Wreszcie wchodzimy na otwartą przestrzeń, był to pas neutralny. Przejście przez ten dwukilometrowy teren było bardzo niebezpieczne. Poruszać się można było jedynie czołgając się prawie bezszelestnie. Co chwilę otrzymujemy sygnał, by się zatrzymać, co oznaczało, że grozi jakieś niebezpieczeństwo. [...] Nagle... błysnęło jakieś światło, to oświetlone okno, jeszcze kilka posunięć, czołgając się, i oto przewodnik oznajmia nam, że przeszliśmy granicę i jesteśmy już po stronie niemieckiej. W tym domku z oświetlonym oknem jest punkt zborny dla tych, którzy już przebyli tę morderczą ucieczkę przez granicę i przygotowują się do dalszej drogi. [...] Wtem otwierają się drzwi chatynki i wchodzi Niemcy w mundurach.

Jeden z nich w ten sposób odezwał się do nas: „Od Ruskaście uciekli do Germańca” [tak w tekście – P.Ł.]. Był to zapewne Polak z Prus Wschodnich, a co kryło się w treści tych słów? Kto wie? Może miał na myśli stare powiedzenie: „z deszczu pod rynnę”? [...]. Na dworcu w Małkini, zanim nadjechał pociąg do Warszawy, byliśmy świadkami sceny znęcania się żołnierza niemieckiego nad Żydem, ciągnął go za

pejsy, kopał. Ogarnęło nas przerażenie na ten widok i trwoga, co nas czeka w tym „wyśnionym raju”, do którego idziemy przez mękę i trud przekradania się przez granicę. [...]

Opracował Piotr Łysakowski

Artykuł pochodzi z: „Biuletynu IPN” nr 12/2004

Podziel się:

Drukuj:

[Drukuj tą stronę](#)

[Generuj PDF z tej strony](#)